Nr. 20. Kraków, niedziela, 25. stycznia 1903. Rok II.

KURYER KRAKOWSKI

Przedpłata wynosi:
w Krakowie miesięcznie 1 korona
kwartalnie 3 „
na prowincyi miesięcznie 1 k. 40 h.
kwartalnie 4 k.

Ilustrowane pismo codzienne dla wszystkich.

Numer pojedyńczy 8 ct.

Ogłoszenia po 20 hal. za wiersz petitowy.

„Kuryer“ wychodzi codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt uroczystych o godzinie 2 popołudniu.

Adres Wydawnictwa:
Kraków, ul. Karmelicka l. 7. — Nr. Telefonu 494.

Redaktor:
KAZIMIERZ BARTOSZEWICZ.

Atak kosynierów w r. 1863.



(Ilustracya do artykułu na str. 4).

Pod Macaraibo.

Wypadki na wybrzeżach Wenezueli mają w tej chwili dla całego świata politycznego pierwszorzędne znaczenie. Dyplomaci śledzą obecną fazę zatargu międzynarodowego, — że wyrazimy się obrazowo — z zapartym oddechem. Sytuacya stała się tak napięta, atmosfera polityczna stała się tak duszną, że już nietylko ludy, ale nawet gabinety, tak amerykański jak angielski, zastanawiają się poważnie nad ostatnią demonstracyą niemiecką. Jeszcze nie umilkły grzmoty prasy amerykańskiej i angielskiej, wobec których prasa niemiecka jest bezbronną, jeszcze niebo polityczne wciąż powleczone jest ołowianemi chmurami, które zdolne spowodować srogą burzę dla Niemiec, a już uderzył na firmamencie Wenezueli nowy piorun, którego skutki nie dadzą się jeszcze w tej chwili przewidzieć.

Na wybrzeżu północnem Ameryki południowej wrzyna się w ląd zatoka Macaraibo. Zowią ją Saco de Macaraibo, zowią też Golfo de Venezuela. Leży między półwyspami Grajua i Paraguana. Na południowym krańcu zatoki leży kanał, szerokości 1500 metrów, który łączy zatokę z jeziorem o wodzie niemal stojącej. Kanał zowie się Barra de Macaraibo, jezioro, mające 16,769 klm. kwadr., nosi miano Laguna de Macaraibo.

Na krańcu północnym tego jeziora, które kanał, a następnie zatoka łączą z Oceanem, wznosi się miasto Macaraibo. Jest to stolica stanu Zulia, tworzącego część rzeczypospolitej Wenezueli. Miasto ma koło 35,000 mieszkańców, kolegium narodowe, instytut pośredni między uniwersytetem i gimnazyum, szkołę dla oficerów marynarki, kolegium OO. Jezuitów, pomnik Bolivara. Ulice oświetlone elektrycznością. Komunikacyę ułatwia tramwaj konny. Bogactwem miasta są znaczne fabryki i ogromne warstaty okrętowe. Port jest doskonale zabezpieczony; wejście do portu wielkim okrętom wzbronione, i to z pomocą sporej tamy kamiennej.

Macaraibo jest ogniskiem dla handlu wywozowego kawą, z której część idzie do Nowego Jorku, część do Hamburga.

Oba szczegóły są potrzebne, by zrozumieć wywody następne.

Nad przejściem przez kanał czuwa spora twierdza wenezuelska uzbrojona w działa znacznego kalibru. Kanonierka niemiecka „Pantera“, ta sama, która przed paru miesiącami zniszczyła statek wojenny hajtyski, chciała się wślizgnąć przez kanał na owo jezioro wewnętrzne, by zniszczyć stojące tam dwa statki wojenne wenezuelskie. Lecz dowódca twierdzy nad kanałem czuwał. Gdy zoczył „Panterę“, wjeżdżającą do kanału, dał sygnał, że będzie strzelał. „Pantera“ płynęła dalej. Wówczas dowódca rozpoczął ogień. Kule zaczęły trafiać w kadłub „Pantery“ i jej działa nie zdołały zmusić dział twierdzy do milczenia; przeciwnie kule wenezuelskie ryły dziury w bokach statku. Po pięćdziesięciu minutach „Pantera“ widziała, że musi się cofnąć, gdyż inaczej wpadnie w ręce nieprzyjaciół.

Ale po dwóch dniach powróciła Pantera z dwoma innemi okrętami „Gazellą“ i „Vinetą“, aby ostrzeliwać fort St. Carlos. Zniszczono wieś tegoż nazwiska a wczoraj puszczono sam fort z dymem.

Koła wielkich kupców, którzy mają firmy w Bremie, w Lubece, w Hamburgu, a handlują z Ameryką południową, są poprostu zrozpaczone. Wyprawa niemiecka do Wenezueli poprostu rujnuje handel zamorski Niemiec. Blokada brzegów Wenezuli przyprawia firmy o straty natychmiastowe; niechęć, którą Niemcy wzbudziły w całej Ameryce południowej, potarga stosunki dotychczasowe i utrudni zawiązywanie nowych. Owoce wyprawy zgarną amerykanie, anglicy, francuzi. Politycy amerykańscy pozwalają też niemcom do czasu i na razie robić na wodach Wenezueli, co im się żywnie podoba. Zabronią przecież jakichkolwiek prób osiedlenia się na stałe, zabrania terytoryum, stworzenia kolonii niemieckiej.

Jeżeli kupcy niemieccy niezadowoleni są z akcyi pod Macaraibo, to cóż dopiero powiedzieć o niezadowoleniu anglików i amerykanów.

Z Wiednia telegrafowano nam dzisiejszej nocy:

„Wiadomości z Wenezueli o okrutnych skutkach bombardowania przez niemców wywołały w Wiedniu wielkie wrażenie. Podnoszą powszechnie okoliczność, że okręty angielskie nie przyłączyły się do akcyi niemieckiej eskadry, przez co cała nienawiść zwraca się wyłącznie tylko przeciw niemcom. Angielska prasa, jak widać z nadesłanych tu telegramów, bardzo skwapliwie tę różnicę podkreśla i staje zupełnie po stronie prasy amerykańskiej.

„*Via* Londyn telegrafują tu, że w Ameryce objawia się coraz to silniejsze wzburzenie przeciw niemcom, tak, że rząd Stanów Zjednoczonych znajduje się w położeniu bardzo trudnem. Nie rozumieją absolutnie, co mogło spowodować Niemcy obecnie, w przededniu rokowań pokojowych, do wystąpienia w tak gwałtowny sposób przeciw Wenezueli.

„Z Nowego Jorku donoszą, że niektóre z tamtejszych dzienników przypominają, jak to w swoim czasie Mac Kinley wbrew swej woli został zmuszony do wojny z Hiszpanią. Podobne stosunki zachodzą teraz wobec Niemiec.

„Standard“ angielski pisze:

„Jakkolwiek wielkim byłby wpływ Niemiec na kontynencie, inne mocarstwa zdolne i powołane są do odgrywania roli jeszcze ważniejszej na dalekim świecie, poza kon-

---

KAZIMIERZ NAŁĘCZ. (1)

Choć krwią ociekły ich ciała...

Na białej powierzchni śniegu, gdzieś w dali łączącej się w jedną całość z mgłą przysłoniętem niebem, ciemną smugą odrzynał się bór głuchy, milczący. Zda się, że życie zamarło w tym ziemi zakątku, bo ni wrony nie widzisz, coby krążyła w powietrzu, ani nie zakołyszą się drzew gałązki, ni wicher nie zagwiżdże nawet i nie załka...

Zda się, że życie tu zamarło, ale ślad jego znać jeszcze. Na śniegu widać odciski stóp ludzkich zmieszane z kopytami końskiemi, odciski, kierujące się polem w stronę tego głuchego, milczącego boru...

W powietrzu cicho, spokojnie...

W tem nagle, jakby za czarodziejskiem jakiemś dotknięciem różdżki, rozkołysały się drzewa, zaczęły drżeć i giąć się ku ziemi wierzchołki sosen, zawył wicher, rozwiały się mgły i wśród jasnych promieni słonka zdala od lasu, zabłyszczały blachą kryte wieże wiejskiego kościółka, zaczerniały niskie chałupki, otaczające go wieńcem, a na drodze, prowadzącej z wioski do lasu, zamajaczyła szara ruchoma plama, proste chłopskie sanie, zaprzężone w parę rosłych bułanych koni.

Na saniach siedziały dwie osoby: woźnica, o charakterystycznych rysach twarzy, ozdobionej potężnym czarnym wąsem, i wzroku sokolim, wyglądający raczej na człowieka, przyzwyczajonego do wydawania, niż do słuchania rozkazów, i młody chłopak o dziewczęcej twarzyczce, kryjącej się pod kapturkiem ciepłej burki, w którą był otulony.

Woźnica co chwila zacinał, rączo pędząc konie i oglądał się niespokojnie poza siebie, a chłopak z nietajoną niecierpliwością mierzył wzrokiem przestrzeń, dzielącą ich od lasu.

— Czy tylko nie przybędziemy zbyt późno Stachu?...

— Czy nie zbyt późno? Wiem, że w każdym razie na czas uprzedzimy ich, ale czy zdołamy wrócić do domu zanim tamci nadejdą, za to nie ręczę...

Konie pędziły wyciągniętym kłusem; zdarzało się, że rozumi ją, jak jadącym zależy na pospiechu, szumiący bór zbliżał się coraz bardziej i wkrótce sanki wpadły w gęstwinę leśną, przesunęły się koło kępki chojarów...

— Stój! kto idzie?! — zabrzmiał ostro głos jakiegoś człowieka z tej kępy gęsto podszytej leszczyną.

— Swój! — odpowiedział woźnica wstrzymując rozpędzone konie.

Powietrze przedarł przeraźliwy świst i z gąszczy wysunął się młody chłopak, w krótkim kożuszku ze strzelbą w rękach, gotową do strzału.

— Zaczekać! Zaraz przyjdzie naczelnik — rzekł krótko, spoglądając nieufnie na sanki.

Woźnica spojrzał nań serdecznie.

— Napijecie się wódki bracie?

— I zjecie co może? — dorzucił towarzysz woźnicy.

Ten, do którego skierowano te słowa zachmurzył się.

— Nie wiem coście za jedni...

W tej chwili zaszeleściały gałęzie i z lasu wysunęły się dwie postacie męskie, uzbrojone w szable i rewolwery, o twarzach marsowych.

Powstaniec, dojrzawszy ich, wziął broń do nogi i szepnął:

— Naczelnik!...

Naczelnik stał już przy saniach.

— Jak się macie panie Stachu — witał się serdecznie z woźnicą — o, i brat jest tutaj? a cóż tam nowego przywozicie?

— Wódkę, trochę chleba, mięsa i wiadomość, że trzy sotnie kozaków i pół bataliona piechoty maszerują na was...

Naczelnik uśmiechnął się wesoło.

---

tynentem. Fakt ten jest znany i wypowiedzenie go nie powinno Niemiec obrażać. Niemcy mają swe miejsce i swoje zadanie, ale zgubą by było dla nich, gdyby na seryo pokusili się o wkroczenie w sferę, która już należy do Anglii. Sprawa Wenezueli popchnęła Amerykę w szeregi owych narodów, które nienawistnie patrzą na Niemcy. Na to nie pomoże filozofia hr. Bülowa o nienawiści i zazdrości narodów! Niechaj Niemcy pamiętają, że położenie ich nie będzie bezpiecznem, skoro ich otoczą sami wrogowie.

Ludzie roku 1863.

Podaliśmy już kilka życiorysów wybitnych działaczy w r. 1863. Dziś wspomnimy o czterech: o kupcu warszawskim, rękodzielniku krakowskim, kapłanie litewskim i żołnierzu francuskim.

I. Ksawery Szlenker.

Stan kupiecki nie powinien zapomnieć, kim był Ksawery Szlenker, bo rola, jaką odegrał podczas wypadków warszawskich w r. 1861 i podczas powstania styczniowego, zapewnia mu zaszczytne wspomnienie na kartach historyi.

Nie możemy szeroko rozpisywać się o tym kupcu warszawskim i kreślić dokładnie całej jego biografii, lecz trudno nie poświęcić mu choć paru słów wspomnienia, trudno zapomnieć, że, jeżeli żydzi warszawscy w chwili wybuchu powstania poszli ręka w rękę z całym polskim narodem, jeśli tak zwani „niemcy", a raczej prawdę mówiąc, tylko ewangielicy, poczuli się do polskości i obowiązku ratowania rodzinnego kraju, to w pierwszym rzędzie jest zasługą Szlenkera.

Szlenker pochodził z Torunia, stamtąd przybył do Warszawy, gdzie niebawem, jako kupiec, zdobył sobie opinię nieskazitelnego człowieka.

Gdy nadszedł rok 63-ci, gdy już powstanie wybuchło, Szlenker synów swych, Józefa i Ksawerego, posłał do szeregów, a sam pozostał w Warszawie i prowadził dalej handel, bo, choć dusza jego i serce rwało się do lasów, choć pragnął z bronią w ręku walczyć z wrogiem ojczyzny, Rząd Narodowy kazał pozostać mu w Warszawie i sklep jego obrał za główny punkt obserwacyi ruchów moskiewskich i wzajemnego porozumiewania się.

W handlu Szlenkera urzędnicy ministerstwa wojny Rządu Narodowego odbierali od znanych sobie członków sztabu moskiewskiego wiadomości i plany, jakie powzięła główna komenda.



Szlenker siedział na wulkanie, który lada chwila mógł wybuchnąć i pogrzebać go w swej lawie.

Nie uląkł się jednak, nie cofnął się przed żadnem niebezpieczeństwem i dopiero, gdy przy upadku powstania moskale wpadli na trop tych komunikacyi, zmuszony i zaopatrzony w paszport przez Rząd Narodowy wyjechał do Torunia, a stamtąd poszedł na dobrowolne wygnanie.

Stracił majątek, jaki pozostawił w Warszawie, syn Józef, schwytany przez moskali, poszedł do katorgi w Nerczyńsku, a drugi Ksawery, gdy już wszystkie nadzieje zawiodły wyemigrował i osiadł przy ojcu w Paryżu, następnie zaś za zezwoleniem moskali przybył do Warszawy ale tu uwięziono go i skazano na wygnanie do gubernii wołogodzkiej, gdzie życie zakończył.

Na emigracyi Szlenker był tem, czem był przed i podczas powstania w Warszawie; więcej nawet, był opiekunem i ojcem emigrantów, którym nieszczędził pomocy moralnej i materyalnej wówczas, gdy interesy jego poprawiły się, gdy znów zebrał jako kupiec majątek.

Młodzież, która była na emigracyi, ta młodzież, której włosy dziś już kryje siwizna z wdzięcznością wspomina imię Szlenkera, bo on, jak mógł, tak pomagał jej w dalszem kształceniu, w zdobywaniu codziennego chleba.

Szlenker nie wrócił już do tej ziemi, którą tak gorąco ukochał. Zmarł na tem „dobrowolnem" wygnaniu w r. 1871.

„Chowamy jednego z najlepszych wśród nas" powiedział nad trumną jego członek Rządu Narodowego Edward Siwiński i powiedział prawdę.

O Szlenkerze nie słychać nic w powieściach albo w nowelach, ale kto zbada historyę styczniowego powstania, ten będzie wiedział, kim był ten Szlenker i schyli czoło przed jego zasługami!...

II. Marcin Borelowski.

Pochodził on ze Zwierzyńca pod Krakowem i był synem ubogiego murarza. Licząc lat zaledwie 16, brał udział w ruchu 1846 r., za co dostał się do więzienia pruskiego. Po uwolnieniu z niego zaczął uczyć się bla-

— Dziękuję! Na przyjęcie moskali jesteśmy zawsze przygotowani, a na przyjęcie wódki i żywności nie trzeba się przygotowywać, gdy jest dobry apetyt i zdrowie... A tymczasem do widzenia! Wracajcie, bo mogliby was ogarnąć po drodze...

Woźnica uścisnął serdecznie dłoń naczelnika, zrzucił z sań sporą beczułkę i dwa pakowne kosze zawrócił sanie i krzyknął na konie, które ruszyły z kopyta...

Naczelnik szepnął parę słów swemu towarzyszowi, skinął na placówkę, i nim sanie znikły mu z oczu, gdzieś w głębi lasu zagrała trąbka, — zabrzmiała krótka komenda, zarżały konie, rozległo się echo stąpań, skrzyp śniegu i ukryci wśród drzew powstańcy zaczęli wiązać się w szeregi...

A tymczasem drogą prowadzącą ku wiosce, jak wiatr, sunęły sanie, zaprzężone w parę rosłych, bułanych koni...

— No! na tych kozunie nie pożywią się wcale — zaśmiał się do brata Stanisław — znajdą ich przygotowanych do odpowiedzi na każdą zaczepkę, a nawet, kto wie, czy powiedzą pierwsze słowo, bo naczelnik bez wątpienia urządzi im niespodziankę z zasadzki!

Młody chłopak spojrzał na brata.

— Ach! jak jabym pragnął być tam w borze, pójść w bój wraz z nimi!...

— Dziecko jesteś, mój Tadziu! zamało siły w twem ręku do karabina.. Zaczekaj, przyjdzie czas!... a zresztą popatrz się na mnie: i jabym wolał szablą liczyć soldackie głowy, niż kłaniać się panom pułkownikom, grać błagonadiożnego i... wozić tylko rozkazy! i jabym wolał, ale gdy trzeba to robić, nie skarżę się wcale, więc i ty musisz nie zrywać się do dalekich lotów, ale stać przy mym boku. Dziś, jutro wpadnę w podejrzenie, dziś, jutro mogę zawisnąć na szubienicy, a wówczas ty zajmiesz moje miejsce...

Młody chłopak westchnął z cicha:

— Ale i ja chciałbym złożyć dowody, że kocham tę ziemię rodzinną, że dla niej życie poświęciłbym swoje...

Stanisław puścił cugle i uścisnął brata:

— Przyjdzie czas na to, Tadeczku! przyjdzie, i to może niebawem...

A konie rwały prawie galopem. Chwilka, a jużby wpadły w ulicę wioski, gdy nagle przy pierwszej, jak na dłoni widnej chałupie, zaczerniły się jakieś postacie.

Wzrok Stanisława dostrzegł je w tej samej chwili i z ust wyrwało mu się jedno słowo:

— Kozacy!...

Nie wstrzymał koni, tylko zwrócił się do Tadeusza i rzekł z naciskiem:

— Nie wiemy o niczem! jeździliśmy oglądnąć, czy nie ma jakich szkód w lesie!...

— Rozumiem.

Za chwilę otoczyło ich kozactwo i przy saniach zatrzymał się spasły pułkownik, z twarzą więcej zaczerwienioną od wódki, jak od mrozu.

— Ot! i pan Stanisław! A skądże droga? Nu, dal z lasu! My już to wiemy, że z lasu! Pan tam miatieżników widział i pan ich przestrzegał, że my idziemy, bo pan to sam w miasteczku odeinnie słyszał. Tak, ja był pijan i ja powiedział, a pan z tem zaraz do lasu! Miatieżniki tam na nas czekają, ale oni poczekają jeszcze trochę, a my tymczasem pogadamy sobie z panem...

Stanisław spojrzał mu w oczy.

— W lesie byłem. Ale „miatieżników" nie widziałem wcale, ale jeździłem tylko po to, aby zobaczyć, czy niema jakich szkód w lesie...

— Nu da! nie było tam szkód, nie było, ale tu będzie pan miał szkody — zasyczał pułkownik i zwracając się do kozaków, dorzucił — Tak brać ich!...

— Panie pułkowniku! jeśli już taka wola, to proszę mnie brać, ale mój brat...

— Nu i braciszek się pozna z kozacką nahajką!...

(Dok. nastąpi).

charstwa, a gdy wyzwolił się na czeladnika, odbył wędrówkę po Niemczech i Austryi. Nareszcie przybył do Warszawy, gdzie, gdy rozpoczął się ruch narodowy, wziął w nim gorący udział. Między innemi, pracował w tajnej drukarni, z której wychodziły odezwy Rządu narodowego.



Z początkiem powstania przybrał pseudonim Lelewela i sformował na Podlasiu oddział, złożony z 400 ludzi. Stoczył z moskalami 25 potyczek i to przeważnie pomyślnych. W uznaniu męstwa, Rząd narodowy mianował go naczelnikiem sił zbrojnych w województwie Podlaskiem. Pod Panasówką, we wrześniu 1863 r., odniósł nad Moskalami świetne zwycięstwo, zdobył na nich dwa działa i znaczną ilość broni ręcznej. W kilka dni później, ugodzony śmiertelnie, zginął pod Batorzem ten wzór patryoty, którym stan rzemieślniczy polski słusznie szczycić się powinien.

III. Ksiądz Antoni Maćkiewicz,



urodził się w 1826 roku na Żmudzi. Był on synem niezamożnej rodziny szlacheckiej, która nie miała dość funduszów na jego kształcenie. Ufny w pomoc Bożą, udał się do Wilna, gdzie znalazł opiekę i pomoc w nauce od zakonników klasztoru Wszystkich Świętych. Ukończywszy nauki średnie, udał się piesz o do Kijowa, bo nie miał środków, i uczęszczał tam na uniwersytet przez dwa lata. Zatęsknił jednak do stron rodzinnych i znów piesz o na „święta" na Żmudź powrócił. Wtedy odezwała się w nim wokacya do stanu duchownego. Już w r. 1851 został proboszczem w miasteczku Podbrzeziu. Zajmował się gorliwie ludem i równocześnie śledził bacznie ruch narodowy.

Gdy wybuchło powstanie wstąpił do oddziału Zyg. Sierakowskiego, jako kapelan. Po schwytaniu tego dzielnego wodza zastąpił jego miejsce i z ogromną zręcznością aż do grudnia 1863 walczył z wrogami, którzy w żaden sposób nie mogli go osaczyć. Jego oddział, w jednem miejscu rozbity, znów zjawiał się gdzieindziej.

W końcu jednak siła wrogów przemogła. Ks. Maćkiewicz oddział rozpuścił i zamierzał przez Niemen się przeprawić, aby schronić się na terytoryum pruskie. Wtedy moskale przez zdradę wzięli go do niewoli i w tryumfie obwozili po Żmudzi. Gdy po wydaniu wyroku śmierci żądano od niego, aby wydał organizacyę narodową, rzekł: „Ja uczyniłem swoje — teraz wy czyńcie swoją powinność". Powieszono tego wzorowego kapłana, gorącego patryotę i dzielnego żołnierza dnia 28 grudnia 1863 r. w Kownie.

IV. Henryk Rochbrune



był jednym z najtęższych dowódców w r. 1863. Jako żołnierz zawodowy — służył poprzednio w armii francuskiej — uformował słynny oddział „czarnych żuawów" i wyćwiczył go znakomicie. Nie brali oni pardonu od wroga, ani też mu go nie dawali. Walczył przeważnie w okolicach gór Świętokrzyskich, gdzie dotąd żyje wśród ludu pamięć o „czarnych żołnierzach", co mieli biały krzyż na piersiach. Nie był to jedyny francuz, co wziął udział w naszem powstaniu — byli bowiem tacy, jak Yunck de Blankenheim, Buffet, Lejars i t. d. — lecz jeden z najdzielniejszych. Szczególniej odznaczył się w bitwie w okolicach miasteczka Łagowa. Zmarł we Francyi.

Atak kosynierów.

„Oj, ostre kosy nasze!" śpiewano po całej Polsce w 1863 roku. Sądzono wówczas, że kosa, straszna broń sieczna, zdoła zrównoważyć broń palną rosyjską. Z szaloną odwagą szły wówczas do ataku oddziały kosynierów, nie bacząc na strzały moskiewskie. Dużo z nich zwykle padało, lecz reszta, co starła się z piechurami moskiewskimi, okropne czyniła w ich szeregach spustoszenia. Tak np. po bitwie pod Ociosękami, gdzie dowodził Bossak, moskale w odwrocie wieźli nietylko swych rannych, ale i zabitych. Czynili to w tym celu, aby ludność miejscowa, grzebiąc trupy, nie widziała ran strasznych, zadanych w ręcznym boju kosami. Obawiali się, aby ją to nie zachęciło także do chwycenia za kosy.

Nasza tytułowa ilustracya przedstawia właśnie jeden z takich ataków kosynierów, którzy idą do boju, pomięszani ze strzelcami — atak, w którym „ostre kosy nasze" zdziałały swoje. Skosiły one masę głów carskich siepaczy.

Były niestety okolice, gdzie lud polski wrogo przeciw powstaniu występował, bo był nieuświadomiony. Zato tam, gdzie chwycił za kosy, siekł moskali bez litości.

Oby zawsze tak było, gdy tego zajdzie potrzeba!...

Przegląd prasy.

„Kaprys" (Wl. Rabski) poświęca fejleton „Kuryera Warszawskiego" toczącej się w Niemczech „Sudermanjadzie". „Berlin, Wiedeń, Frankfurt, Monachium uczestniczy w tym boju najwybitniejszych krytyków i autorów niemieckich, niema poważniejszego czasopisma, któreby nie wysyłało swych rycerzy na arenę walki, a są nawet tygodniki literackie, które całe numery poświęciły tej „Sudermanjadzie", jak się wyraził jeden z zapaśników.

Polemikę rozpoczął Herman Sudermann szeregiem głośnych artykułów p. t. „Zdziczenie krytyki teatralnej w Niemczech". Przytoczył on istotnie kilka rażących przykładów brutalności krytycznej, ale fejletony jego miały piętno próżności obrażonej, grzeszyły przesadnem uogólnieniem i przeciwstawiały niesprawiedliwie publicystów-dziennikarzy twórcom-artystom, spychając pierwszych do poziomu rzemieślników literatury, a żądając dla drugich czołobitności pokornej. Zawrzało w całej prasie niemieckiej. Wystąpił Harden, wystąpił Kerr i reduty polemiczne Sudermanna zamieniły się w kupę rumowisk, a ucierpiała przytem i sława pisarska autora „Honoru", nad którą naturalnie krytycy obrażeni pastwić się zaczęli niemiłosiernie.

Wtrącił się do polemiki i znakomity fejletonista berliński, Paweł Goldmann, i ogłosił we „Frankfurter Zeitung" artykuł, który swą argumentacyą, umiarkowaniem i formą zwrócił powszechną uwagę. Goldmann ceni Sudermanna, przyznaje, że część jego zaszczytów jest słuszną i nazywa go „najsilniejszym talentem *dramatycznym*" wśród współczesnych autorów niemieckich, nie wyłączając Hauptmanna, którego, zdaniem jego, opinia znacznie przeceniła.

Oddawszy jednak hołd komedyopisarzowi, fejletonista berliński w świetnej replice zwalcza jego artykuł o zdziczeniu krytyki niemieckiej. Broni on przedewszystkiem prawa ironii, która, zdaniem jego, jest najsilniejszą reakcyą artystyczną i jest właściwością indywidualną najtęższych, zdolnych zarówno do sarkazmu, jak do uwielbienia, umysłów. A wkońcu zwraca się przeciw podziałowi autorów na dwie klasy: 1) tych, którzy dla teatru piszą, i to jest klasa wyższa, 2) tych, którzy pracują dla dzienników, i to jest kla-

sa niższa. Tamci rzekomo są „twórcami", ci do „twórczości" nie należą.

Tu właśnie jest nonsens kapitalny. Tworzyć, to znaczy przecież: tworzyć dzieła sztuki i tylko wtedy ma autor prawo do tytułu twórcy, jeżeli istotnie stworzy dzieło sztuki. A ileż dzieł takich jest wśród sztuk teatralnych literatury współczesnej? Teatr ze swemi oklaskami, ze swą popularnością, ze swemi tantjemami, pociąga wielu ludzi, pragnących bez talentu wybitniejszego zrobić karyerę i majątek. Wśród autorów dramatycznych jest niezmiernie mało prawdziwych poetów, natomiast olbrzymia przewaga rzemieślników zręcznych, piszących sztuki nie z wewnętrznej potrzeby, lecz jedynie dla zdobycia pieniędzy i rozgłosu. Sudermann tego nie widzi. Dla niego każdy autor dramatyczny jest twórcą: i ten z talentem i ten z półtalentem, i ten bez talentu. „Tworzyć", to znaczy dla Sudermanna pisać dla teatru.

A jakże mało „tworzą" naprawdę dzisiaj ci, którzy dla teatru piszą! Już dawno literatura sceniczna w Niemczech nie była tak ubogą w indywidualności artystyczne, jak dzisiaj. Jest to typowa sztuka epigonów, w której nawet najwięksi mało się wznoszą ponad poziom miernoty. Tyle się produkuje literatury, a tak mało poezyi! A może autorzy dramatyczni są i dlatego tak mało poetami, ponieważ swą pracę traktują, jako rzemiosło i pomysły swoje czerpią nie z konieczności wewnętrznej, lecz z potrzeby zawodowej.

To też w takich warunkach zdarza się coraz częściej, że dziełem sztuki nie jest sam dramat, lecz właśnie krytyka o dramacie, że prawdziwym *twórcą* nie jest autor, lecz *krytyk i dziennikarz*. Wśród autorów dramatycznych chwili bieżącej mało jest indywidualności artystycznych, — to fakt jeden: wśród tych ludzi, którzy pracują w dziennikach, wśród krytyków i publicystów mnóstwo jest indywidualności wybitnych — to fakt drugi. W każdej prawie poważniejszej redakcyi znaleźć dziś można pracowników, którzy pod względem talentu, erudycyi, jasności poglądów, zrozumienia czasu, oryginalności, głębi ideowej i nawet formy literackiej, przewyższają tych wszystkich, którzy *dzisiaj* dla teatru pisują. Niejeden z tych pogardzanych przez Sudermanna dziennikarzy tworzyłby równie dobre sztuki dramatyczne, jak mnóstwo modnych pisarzów, gdyby przypadkiem zamiast techniki dziennikarskiej nauczył się był techniki dramatycznej, lub miał czas na pisanie większych utworów, toby nie potrzebował z dziś pracować na jutro dla siebie i rodziny.

Sudermann nie przeczuwa wcale, że wśród dziennikarzów są nawet poeci, — poeci, których dzieła pochłaniane przez bibułę znikomą, dorównywają, a nawet przewyższają pod względem treści i siły poetyckiej niejeden z głośnych dramatów. Naturalnie nie mają oni rampy, przed którą ukazywaliby się tłumom, zbierając głośne oklaski i wieńce za każdy pomysł dobry lub tylko dowcipny. Są to poeci bez wawrzynów, którym potomność wieńców splatać nie będzie i współcześni wieńców nie splatają. A jednak nie potrzebują oni zazdrościć autorom dramatycznym ich sławy. Bo widząc, jak małą jest nieraz siła twórcza i poezya tych, których, jako „poetów" i „twórców", się sławi, mogą sobie przyznać bez chwalby, że, mając oczy, które patrzą bystro, i serce, które czuje głęboko, mając myśl, ogarniającą widnokręgi szerokie, mając zdolność wyrażania artystycznego rzeczy widzianych lub odczutych i przenoszenia swych wrażeń indywidualnych w dusze czytelników, oni, dziennikarze, są w wyższym stopniu „twórcami", niż większość autorów dramatycznych.

Polecamy streszczone powyżej myśli Goldmanna rozwadze naszych „twórców" i „poetów".

Czytamy w „Wieku" warszawskim:

„Nie jesteś prorokiem pomiędzy swymi" — może o sobie powiedzieć jeden z naszych utalentowanych artystów rzeźbiarz, ceniony wielce poza granicami naszego kraju.

Opowiadał on nam właśnie fakta, rzucające jaskrawe światło na nasze stosunki artystyczne. Przed rokiem mniej więcej zwrócono się do niego z propozycyą przysłania szkicu na płaskorzeźbę, która miała być ofiarowaną jednemu z naszych wielkich przemysłowców, jako wyraz wdzięczności za jego pożyteczną i długoletnią działalność.

W odpowiedzi za ofertę nasz artysta odpisał, żądając za szkic 200 rubli, jako wynagrodzenie za pracę i pomysł w razie, gdyby nie przyjęto jego szkicu do wykonania.

Ciekawą i charakterystyczną otrzymał artysta odpowiedź; mianowicie, że za szkic nie zapłacą mu nic, lecz ręczą *słowem honoru*, że w razie nie skorzystania z niego w tym wypadku, nie zużytkują projektu na żaden cel inny; autor, czy też autorzy tej odpowiedzi nie zdawali sobie widocznie sprawy, że skorzystanie ze szkicu niezapłaconego artyście byłoby wprost czynem, kwalifikującym się do sądu, pocóż więc było dawać na to aż słowo honoru.

Jednocześnie panowie zamawiający zawiadamiali naszego artystę, że wezwą razem z nim do konkurencyi jednego rzeźbiarza niemca z Berlina i jednego, rzeźbiarza francuza z Paryża.

Na list ten artysta odpisał, że, mieszkając od lat kilkunastu zagranicą, dosyć nakonkurował się z niemcami, aby jeszcze we własnym kraju, w swojem rodzinnem mieście, być zmuszony do konkurencyi z nimi i zerwał oczywiście wszelką dalszą korespondencyę. Dowiadujemy się obecnie, że wykonanie tej płaskorzeźby zostało powierzone jednemu z rzeźbiarzy francuskich, czyli tak się stało, jak to przewidywał w liście swoim artysta, dodając komentarz, że takie popieranie cudzoziemskich artystów zadość uczyni tradycyi warszawskich stosunków artystycznych.

Ten mały fakt nasuwa nam na pamięć, że Siemiradzki, Brandt, Gierymski i tylu innych byli zawsze i wszędzie więcej cenieni na zachodzie, niż u nas. Dziwnym i smutnym zarazem wydaje się ten objaw, dziwnym, bo nie możemy zrozumieć, dlaczego przeciętny artysta niemiecki lub francuski ma większe powodzenie u nas, od wielce utalentowanego artysty polskiego, a smutnym nam się przedstawia ten objaw z tego powodu, że, napychając kieszenie cudzym — pozwalamy swoim przymierać z głodu, wydając jednocześnie okrzyki zgrozy i oburzenia, gdy który z tych głodnych synów Apolina wyruszy w świat po zarobek, żeby módz codzień jeść obiad.

KRONIKA.

Kraków, 24 stycznia.

Kalendarzyk. Dziś Tymoteusza b. Jutro Św. Rodziny. Pojutrze Polikarpa i Pauli.

Dziś o godz. 8 rano — 15·5° C.

Repertoar teatru miejskiego w Krakowie.

W sobotę (dziewiąty występ p. H. Modrzejewskiej) „Marya Stuart", tragedya w 5 aktach Fr. Szyllera.

W niedzielę (dziesiąty występ. p. H. Modrzejewskiej) „Marya Stuart".

Czterdziesta rocznica styczniowego powstania. Przypominamy, że w niedzielę dnia 25 b. m. odbędzie się w sali „Sokoła" uroczysty obchód ku uczczeniu bohaterskich bojów 1863 r.

Uroczystość zagai dr. Lucyan Rydel, gdyż p. Bronisław Szwarce zachorował i przemawiać w niedzielę nie może.

Dla uczestników powstania urządzono w sali „Sokoła" osobną honorową trybunę. Początek obchodu o 7-mej wieczorem. Bilety wstępu sprzedaje handel p. Rudnickiego przy linii A-B, Rynek gł.

„Podwawelanie". Na VI. posiedzeniu „Podwawelan" akad. Koła art. naukowego Czytelni odbędzie się dnia 25 b. m. o godz. 3 po południu w lokalu Czytelni (Rynek 22, II. p.) odczyt p. Witolda Sigiericza na temat: „Społeczne znaczenie powstania styczniowego". Goście mile widziani!

„Kuryer", a rocznica styczniowa. Żadne chyba z pism nie poświęciło tyle miejsca, nie podało tylu artykułów i ilustracyi, odnoszących się do tych krwawych bojów o niepodległość, jak nasz „Kuryer". Cztery ostatnie numery poświęciliśmy pamięci nieszczęsnych bohaterów i ofiar ostatniego powstania. Nie myślimy chlubić się tem, bo spełniliśmy tylko nasz obowiązek, ale zaznaczamy to dlatego, aby stwierdzić, że staraliśmy się o ile można, przypomnieć naszym czytelnikom tę ostatnią martyrologię naszego narodu.

Nie ustają mrozy! Dziś, co prawda, nie możemy pochwalić się dwudziestostopniowym mrozem, bo termometr wskazywał „tylko" 15 stopni Celsyusza poniżej zera, ale i ten mrozik, w połączeniu z wiatrem, który Krakowianie zwą delikatnie „cugiem" ulicznym, wystarcza, aby dokuczyć przechodniom i zamarkować istnienie zimy.

Dla pocieszenia jednak naszych Czytelników możemy powiadomić ich, że nietylko w Krakowie panuje takie zimno. I we Lwowie uskarżają się na mrozy i w całej Galicyi zapanowała ostra zima. Śnieżyce z rzadka szaleją, ale mróz nie ustaje w swym zapale, choć w naszem mieście koło południa zaczął nieco słabnąć.

„Miłe" stosunki zapanowały w szkole na Grzegórzkach, podczas obecnych mrozów i zimna. W szkole tej jedynym aparatem, jaki dostarcza wodę. jest studnia i to studnia, zaopatrzona w żelazną pompę, która bynajmniej nie jest okręcona słomą.

Nic więc dziwnego, że ofiarą tej nieprzezorności dyrekcyi szkoły, która nie może zdecydować się nawet na zakupno garnuszka do picia wody, pada biedna dziatwa szkolna, pragnąca podczas nauki ugasić pragnienie.

Malutka Jadzia Bilińska, która piła wodę wprost ze studni, bo nie mogła nawet od dozorcy szkoły doprosić się garnuszka, padła ofiarą tego. Usteczka dziecka przymarzły do zimnej rury i, gdy, zaspokoiwszy pragnienie, chciała odejść od studni, zdarła sobie cały naskórek aż do żywego ciała. Gdy przyszła do klasy zakrwawiona, pani nauczycielka, zamiast pospieszyć jej z pomocą, wyśmiała tylko nieznajomość fizyki biednego dziecka. Drugiej dziecinie podczas pompowania wody przymarzły dłonie do rękojeści pompy i tylko dzięki pomocy współtowarzyszek zdołała uwolnić się z tych kajdanów.

Zwracamy uwagę władz szkolnych na to, i na niedozór nad dziatwą, bo przecież barbarzyństwem można nazwać tak „miłe" stosunki!...

Brak węgla. Zdaje się nam, że niebawem będziemy musieli stworzyć pod tym napisem stałą rubrykę, i równocześnie otworzyć drugą, w której będziemy notować wszystkie zażalenia na zarząd miejskiego składu węglowego, bo stosunki, jakie obecnie zapanowały przy rozwożeniu węgla, są wprost nie do zniesienia.

Wprawdzie zarząd składu powiadamia plakatami, że może dostarczyć mieszkańcom 2.000 cetnarów węgla codzień po cenie 72 halerzy za cetnar, że obsługującym wozy, nie wolno pobierać nic więcej, ponad tę oznaczoną cenę i że nie wolno im sprzedawawać jednej partyi więcej jak 5 centnarów, ale poprzestaje na tych ogłoszeniach, i nie kontroluje bynajmniej obsługujących wozy, a właśnie ów brak kontroli jest przyczyną tych anormalnych stosunków.

Pomijamy już, że służba składu miejskiego, dopóty nie zdecyduje się na dostarczenie węgla, dopóki z góry nie złoży się jej sutego napiwku, ale na udowodnienie naszych zarzutów przytaczamy trzy jaskrawe fakty, najlepiej ilustrujące obecne stosunki.

Wczoraj około godziny 2 w południe na ulicy Karmelickiej służba wozu nr. 9 ze składu miejskiego nie chciała nikomu sprzedać nawet jednego worka, oświadczając, że węgiel ten „został w całości w składzie samym zakupiony".

Onegdaj dwaj robotnicy, Błażej i Jędrzej Malkowie chcieli z wozu nr. 5 w ul. św. Marka kupić po dwa centnary węgla. Służba wozu nie chciała jednak im sprzedać choćby cetnar tylko, a całą zawartość wozu oddała handlarzowi węgla, który posiada skład drobnej sprzedaży na tej samej ulicy.

Ów wóz nr. 5 jest jakiś „szczególny". Dziś od pana S. Ż., zamieszkałego przy ul. Mikolajskiej otrzymujemy skargę, że obsługujący nietylko nie chcieli sprzedać mu węgli, lecz nawet chłopaka, którego posłał do nich, obrzucili stekiem obelg, jakie dziś przeważnie używają obstrukcyoniści parlamentarni.

— „Gdyby nie interwencya ajenta policyjnego — opowiadał nam p. Ż. — który zmusił tych ludzi do wydania mu węgli, byłbym trzeci dzień nie opalał mieszkania."

Zdaje się, że już te trzy fakty wystarczają, aby poznać, jak miejski skład węgla „spełnia" swe zadanie!

Dziś po południu obradować ma komisya węglowa rady miejskiej. Może przecież członkowie jej wezmą w obronę interesy mieszkańców, może położą kres takiej gospodarce zarządu i przetną to pasmo skarg, które zapełniłoby cały nasz dziennik, gdybyśmy wszystkie zażalenia mogli ogłosić drukiem!

„Naprzód", omawiając sprawę braku węgla, podnosi, że jedną z głównych przyczyn tej klęski, jaka nawiedziła nasze miasto jest nieudolna gospodarka na dworcu kolei północnej.

Dowiadujemy się — pisze ten dziennik — że na dworcu krakowskim od kilku dni stoi kilka całych pociągów węglowych i tylko z powodu ciasnoty dworca, znanej od kilku lat, nie zdołano ich dotychczas dostawić na t. zw. rampę węglową (Kohlenwuntsche)."

I tak jest w rzeczywistości. Niesprężystość i lekceważenie ze strony urzędników kolejowych jest także jedną z głównych przyczyn, dla których mieszkańcy nie mogą korzystać z węgla, będącego już w mieście!...

Z zapisków karnawałowych. „Biały wieczór" odbędzie się dziś t. j. w sobotę w Gwieździe. Zabawa zapowiada się bardzo dobrze, gdyż młodzież przyrzekła swój współudział w zabawie. Komitetowe panie od rana pracują nad urządzeniem bufetu, który będzie najlepszem schroniskiem dla „nietańczących", a panienki, poangażowane już do wszystkich tańców, wypoczywają w oczekiwaniu na trudy wieczorne.

W sali hotelu Saskiego odbędzie się dziś bal stowarzyszenia katolickich kucharzy. I ta zabawa, jak komitet z góry zapewnia, będzie udaną, bo „moc" biletów już rozkupiono, a przyjaciele „gastronomicznych przyjemności" obiecali *in gremio* odtańczyć *pas de deux* koło bufetu.

Muzeum osobliwości. Jak dowiadujemy się, jeden z krakowskich kupców, znany z swego przedsiębiorczego umysłu, postanowił w tych dniach otworzyć muzeum osobliwości, gdzie, wśród rozmaitych „kawałków" niebywałych w Krakowie, za 20 halerzy będzie można oglądać:

właściciela składu węgla, sprzedającego obecnie cetnar tego paliwa za koronę;

bal na którym tańczy aż dwadzieścia par kadryla;

towarzystwo, które nie urządza w karnawale żadnej zabawy tanecznej;

hrabiego (majętnego!), co nie poszedł na przedstawienie trupy p. Georgette Leblanc;

aktora, który sam przyznał recenzentowi, że nie ma talentu;

aktorkę, uznającą, że jest za stara do ról młodych bohaterek;

demokratę, który nie dla karyery został konserwatystą;

stańczyka, nie marzącego o orderze, albo o synekurze;

kupę śniegu, którą w półgodziny po zmieceniu wywieziono z miasta;

opozycyę ekscelencyi Jaworskiego w pudełku waty, aby się przypadkiem nie stłukła; bańkę mydlaną o inwestycyach w mieście i sto innych podobnych osobliwości.

Naturalnie dzieci i wojskowi aż do feldfebla płacą tylko połowę wstępu....

I „zagałuszył"! Tam na dworze mróz krew w żyłach ścina, tam zda się przechodniom, że płuca im w oddechu zamarzają, a w małej izbebce, gdzie mieści się i sala kawiarniana i kuchnia „pani Józefy z Tomasza" ciepło, rojno, gwarno — wre ruch, kipi życie.

Pani Józefa już rąk nie czuje, bo cały dzień niemało zmordowała się, racząc „herbatom z arakiem" i „czarnom zaliwanom" obywateli i obywatelki ze „Szczepańskiego", a tu godzina mało co nie dziesiąta, gości zaś huk!

— Poni Józa to mnie czarno zaliwano, ale podwójnie!...

— Poni Józefowa, jabym prosiła o arbatkę z podwójnym!...

Kilka wesołych panienek pod osłoną swych adonisów obsiadło jeden stolik — dwóch panów „z miasta" z sarkastycznym uśmiechem podgląda to życie, przy trzecim (w całej kawiarni są tylko trzy stoliki) grono młodych ludzi oblewa jakąś kawalerską uroczystość familijną, kokietując przytem „z damami" a na krześle pod kuchnią siedzi napół zaspany „harmonijkorz" i targuje się zawzięcie z panią Józefą o „arbatę", którą chciałby dostać za grę, jako bezpłatny dodatek do wynagrodzenia pieniężnego.

Wtem wśród najlepszej zabawy od stołu „uroczystościowego" padło jakieś obraźliwe słówko pod adresem „dam", wywołało represyę ze strony obrońców czci niewieściej i obie męzkie załogi stołów powstały gotowe do boju.

— Panie Antoni, dajże pan spokój — mityguje zacna pani Józefa — moi panowie, ino mi nie robić awantury w lokalu...

— Co poni głowę zawraco, dam ja to „mojej" ubliżyć, cy co...

— Cóż ja tu nie piję za swoje, żeby mi tu jakiś andrus odpowiodoł?...

— Andrus? a komu pon mówisz andrus? A jak andrus ponu ząbki policzy?

— Nogomi się przód nokryje!...

Sytuacya staje się coraz drażliwszą, ale pani Józefa zna się na rzeczy.

— Grojże na rany boskie, groj, to zagałuszysz całom sprawę!...

Ale „harmonijkorz" chce „wykorzystać" okoliczność.

— Ano patrzy mi się dwie arbaty i z podwójnym, a dostonę, to zagrom...

Tymczasem strony wojujące wznoszą już pięści i „loseczki", które, nie znający się na rzeczach lakarze, nazywają „pałami" i uważają za... tępe narzędzie zbrodni, czy też tylko występku.

Pani Józefa nie waha się wcale. „Lo onoru" interesu poświęca dwie „arbaty" i cztery araki.

— Grojże jucho, a dostaniesz już te arbate...

„Harmonijkorz" uśmiechnął się kwaśno, rozciągnął harmonię i w tej chwili rozległy się huczne dźwięki „rachu-ciachu-ciachu rachu-ciachu-ciachu rach-ciach-ciach-ciach..."

Wzniesione do góry pięści opadły. Płeć piękna i brzydka poczęła przytupywać i przyśpiewywać...

„Harmonijkorz" zagrał i „zagałuszył" sprawę!...

Ciekawe sprawy prawnicze. Przed trybunałem orzekającym tutejszego sądu karnego odbyła się wczoraj ciekawa rozprawa apelacyjna. Pan Ludwik Oborski zaskarżył do sądu w Liszkach dzierżawcę tamecznej propinacyi, Bernarda Kornhäusera o zwrot

trzech koron z halerzami, ale gdy nie zjawił się na rozprawie, sprawa jego upadła, a p. Kornhauser uzyskał wyrok zaoczny, przysądzający mu koszta procesu. Oborski zwrócił się do prokuratoryi w Liszkach z prośbą o obronę, ta wytoczyła przeciw p. Kornhauserowi skargę o... oszustwo, a sąd przychylił się do wniosków prokuratora i skazał obwinionego na grzywnę w kwocie 70 koron i ponoszenie kosztów sądowych.

Podczas wczorajszej rozprawy apelacyjnej wyrok ten został zniesiony, gdyż trybunał uznał, że Kornhauser skorzystał tylko z prawa, jakie mu służyło, tembardziej, że oskarżający nie wykazał, czy pretensye jego były uzasadnione.

W sprawie tej występował jako obrońca dr. Isenberg.

Druga ciekawa rozprawa apelacyjna odbyła się przed paru dniami we Wiedniu, ciekawa o tyle, że trybunał najwyższy na zażalenie nieważności, wniesione przez dra Lewickiego, zniósł w drodze nadzwyczajnej rewizyi wyrok sądu karnego w Krakowie, skazujący obywateli radłowskich, Pawła Dobijana i Kuklawicza za zbrodnię oszczerstwa i oszustwa przez złożenie fałszywych zeznań w sądzie powiatowym Radłowa, na kilka miesięcy więzienia.

Trybunał w motywach podniósł, że skazani działali w dobrej wierze i że nie można w ich postępowaniach znaleźć śladów złego zamiaru.

Znowu piwniczny! Wczoraj wieczorem w domu pod l. 10 na placu Wolnica, szupaśnik, Adam Sroka, operował już ze swym koleżką w piwnicy, gdy stróż Mirocha, zwabiony hałasem, udał się w tamtą stronę i zapytał „kto tam?!..“ — Odpowiedziano mu „to ja — Jasiek!...“ Ponieważ stróż żadnych Jaśków w piwnicy się nie spodziewał, przeto odrazu zmiarkował, że ma do czynienia ze złodziejami. Zamknął drzwi wchodowe i, uwięziwszy w ten sposób ptaszków, pobiegł po policyanta. Gdy wrócił w towarzystwie tego ostatniego, zastał już drzwi wchodowe wyważone; jeden z uwięzionych uciekł, drugiego zaś, mianowicie Srokę, znaleziono ukrytego za beczką.

„Węglowi.“ Brak węgli tworzy naturalnie „węglowych“ złodziei. Za taką kradzież w magazynach na dworcu kolejowym aresztowano wczoraj Franciszka Bartosika, Jędrzeja Szimarę i Jędrzeja Walkowicza. Ten ostatni z wozem, zaprzężonym w parę koni, wybrał się na połów, podczas którego sam został złowiony.

Sprostowanie. Otrzymujemy list następujący: Szanowna Redakcyo! W nr. 16 „Kuryera krakowskiego“ z dnia 21 stycznia b. r. było ogłoszone, jakobym się trudnił wraz z Wojciechem Dziedzicem sprzedażą kradzionych kapeluszy za pośrednictwem drugich osób. Otóż wyjaśniam, że dnia 9 stycznia poszedłem do opustoszałego magazynu, który stoi nad Wisłą i nad którym mam dozór powierzony i znalazłem w nim kilkanaście sztuk podeptanych kapeluszy, które, po oczyszczeniu, rozdałem znajomym bezinteresownie. *Jerzy Twardowski.*

„Młodzież akademicka“ przysyła nam następującą odezwę w sprawie zakupna domu, w którym zmarł Adam Mickiewicz w Konstantynopolu;

„Odezwa to do wszystkich serc, których cieplem jest Miłość Ojczyzny, odezwa to zaś idąca z duszy patryotycznej młodzieży, głośna, jak wołanie pełne zapału, a poważna, jak owoc długiej, spokojnej myśli. A gdy sprawa, do której dokonania się rwiemy, społeczeństwu się spodoba (o czem powątpiewać trudno) niechże, z logiczną koniecznością zjawi się tego natychmiastowy probierz: ofiarność.

Rzecz idzie o uratowanie Mickiewiczowskim zgonem pamiętnego domu w Konstantynopolu. Na Perze, dzielnicy Stambułu, wznosi się przy jednej z bocznych ulic z dwoma piętrami dom, na którego zupełne wykupno kilku tylko tysięcy koron potrzeba, a który dla polaka tak bardzo jest cenny.

Dom ów, ozdobiony marmurową pamiątkową tablicą, na której napis o Mickiewiczu był zaproszeniem dla polaków — był zawsze dla nich namiotem na tureckiej pustyni, w którym zgromadzali się dla wytchnienia emigranci-powstańcy w spiece tęsknoty za Ojczyzną. Własnością był ów dom polską. Ale za kilka tygodni, z powodu obciążenia długami, ma się dostać w ręce greka, o czem społeczeństwo z obawą i boleścią zawiadamiamy. Nie wolno nam dopuścić tego, aby w miejscu upragnionych zebrań polskich tułaczy, miłej gościny przejezdnych rodaków, zbioru ojczystych pamiątek — aby tam zaczęły gospodarować ręce, nie kierowane ukochaniem tego domu i sprawy, której być musi przybytkiem. To też w łonie krak. Czytelni akad. im. A. Mickiewicza, która już z nazwy w pierwszym rzędzie do podobnych działań jest powołana, powstał komitet dla urzeczywistnienia patryotycznego zamiaru.

Czas bardzo krótki! Im krótszy czas tem większą będzie gorliwość inicyatorów, tem spieszniejsza szczodrobliwość ludzi na dobre nie skąpych.

Umysły zajętych tą sprawą odczuwają z rzadką mocą prawdę klasycznych słów: „Bis dat, qui cito dat“. Z tem więc wezwaniem, naglością natarczywym, dobrą ideą śmiałym, najusilniej, najgorecej, idziemy zbierać składki między dziesiątki milionów polskiego narodu, którego część półgroszkami zdolna by była zakupić ten dom na pomnikową, piękną i praktyczną narodową pamiątkę“. *Komitet.*

Składki można nadsyłać na ręce skarbnika komitetu Br. Matejki do Czytelni akad. w Krakowie, Rynek gł. l. 22.

Rehabilitacya i odszkodowanie. Wczoraj rozstrzygnęła się przed Trybunałem państwa sprawa Franciszka Janikowskiego, którego, jak wiadomo, zasądził sąd krajowy krakowski d. 15 września 1900 za oszczerstwo, rzucone na dwóch urzędników sądowych w Jaworznie, na sześć miesięcy więzienia. — Później sąd wyższy podwyższył tę karę na 10 miesięcy. Z tego odsiedział J. w więzieniu 180 dni. Rodzina zasądzonego odniosła się do pos. Wojtygi, a ten powierzył sprawę adwokatowi wiedeńskiemu, dr. Zipserowi, który uzyskał, że ministerstwo sprawiedliwości poleciło jeneralnej prokuratoryi wnieść zażalenie w obronie ustawy.

Przy przeprowadzonej następnie rozprawie w trybunale najwyższym został Janikowski zupełnie uwolniony. Wskutek tego dr. Zipser wniósł na podstawie ustawy z r. 1892 skargę do trybunału państwa przeciw ministerstwu sprawiedliwości o odszkodowanie za niewinnie odcierpianą karę. Trybunał przyznał wczoraj Janikowskiemu 500 kor. za cierpienia w więzieniu, 800 za koszta leczenia i za zaniedbanie gospodarstwa rolnego, nadto 300 koron za zastępstwo karne.

Polska ziemia się kurczy. Pruska komisya kolonizacyjna w zeszłym roku rozparcelowała i skolonizowała 9.000 hektarów w Poznańskiem i Prusach Zachodnich, a że na rok bieżący podniesiono fundusz kolonizacyjny do 250 milionów marek, spodziewa się komisya rozparcelować 17.000 hektarów i osadzić 1.200 do 1.500 kolonistów.

Ciekawy proces o krzywoprzysięstwo. Na istniejące w Poznańskiem smutne stosunki, jaskrawe światło rzuca proces o krzywoprzysięstwo, jaki toczył się temi dniami przez dwa dni, przed sądem przysięgłych w Lesznie, przeciwko ks. proboszczowi Wnętkowskiemu z Bucza pod Smiglem. Sprawa ta datuje się od początku r. 1901, w którym to czasie ks. Wnętkowski, chodząc po kolędzie, miał w mieszkaniu nauczyciela Kożuszkiewicza w Barchlinie uczynić uwagę, uwłaczającą obrazom cesarzy, wiszącym w pokoju. Ks. Wnętkowskiego denuncyował o to nauczyciel Kutzner z Bucza. Przy rozprawie, jaka z tego powodu odbyła się w październiku 1901 r., ks. Wnętkowski zeznał pod przysięgą, że wogóle w mieszkaniu nauczyciela Kożuszkiewicza nie zauważył żadnych obrazów cesarzy. Prokuratorya dopatrzyła się w tych zeznaniach rzekomo świadomego krzywoprzysięstwa, twierdząc, że ks. Wnętkowski musiał widzieć owe obrazy. Rozprawa, do której powołano 100 świadków i 15 rzeczoznawców, zakończyła się uwolnieniem oskarżonego od winy i kary.

Z Rosyi. Od początku b. r. zaczęły w Petersburgu wychodzić trzy nowe dzienniki. Pierwszy z nich „Znamia“, rozwijając w artykule programowym oświadcza, że nie chce należeć ani do stronnictwa zachowawczego ani postępowego, pragnie gorąco oświaty i zwracać będzie szczególniejszą uwagę na kwestyę żydowską i na szkody, jakie ponosi Rosya wskutek ciągłego potęgowania się wpływu żydów.

Obok redakcyi drugiego nowopowstałego dziennika „Słowo“, grupuje się odłam liberalny profesorów i dziennikarzy. Ma to być pismo postępowe, a redakcya zapowiada, że unikać będzie wszystkiego, coby mogło stanowić jad nienawiści rasowej.

Trzecie pismo, noszące tytuł: „Otieczestwo-La Patrie“, wychodzić zaczęło w dwóch wydaniach: rosyjskiem i francuskiem. Artykuł programowy, powołując się na mowy cara do szlachty, ziemstw i włościan, oświadcza, iż chce rozwijać zasady, wygłoszone w tych mowach, zawierających wskazówki co do najważniejszych zagadnień społecznych. Naczelnym redaktorem jest hr. Piotr Goleniszczew-Kutuzow, jeden z byłych współpracowników „Piet. Wiedomosti“.

Sprawa Niecięgiewicza. Onegdaj w Wersalu przed sądem przysięgłych toczyła się sprawa studenta wyższej szkoły handlowej, p. Wacława Niecięgiewicza, oskarżonego o zabicie w pojedynku swego kolegi, ś. p. Belkiewicza. Oskarżony, pomimo widocznego wzruszenia, odpowiadał na zapytania przewodniczącego Franqueville'a z wielką godnością. Przewodniczący zapytuje: „Czy miał pan zamiar zabić swego przeciwnika?“ Oskarżony odpowiada drżącym głosem, że nie miał zamiaru.

Badanie oskarżonego i przesłuchanie świadków trwało bardzo krótko. Po oskarżeniu prokuratora, zabrał głos znany adwokat paryski, Józef Menard i w świetnej mowie przedstawił dowody, na zasadzie których zażądał zupełnego uniewinnienia oskarżonego. Obrona adwokata wywarła wielkie wrażenie nietylko na sędziach i publiczności, lecz i na oskarżonym, który zaniósł się spazmatycznym płaczem.

Po mowie adwokata Menarda przewodniczący zwrócił się do oskarżonego pytając, czy ma co do nadmienienia na swoje usprawiedliwienie. P. Niecięgiewicz odpowiedział, że walczył w obronie swego honoru.

O g. 2 po poł. odczytano wyrok, mocą którego Wacław Niecięgiewicz został od sądowej odpowiedzialności uwolniony i niezwłocznie wypuszczony na wolność.

Żona na sprzedaż. Redakcya „Pridnieprowskawo Kraja“ otrzymała niedawno pry-

watny list, pisany do naczelnika dworca jekatierynosławskiej kolei żelaznej od dróżnika ze stacyi Żmierynka. Jestto istotnie dokument ludzki. Pismo to brzmi: „Wasze wysokobłagorodie! Zwracam się do pana z najpokorniejszą prośbą, abyś pan był łaskaw zapytać się całej swojej służby, urzędników i maszynistów, czy który z nich nie chce być posiadaczem żony. Mam na sprzedaż żonę młodą, przystojną i zdrową kobietę, w dwudziestym czwartym roku życia. Ponieważ jest mi niepotrzebna, sprzedam ją z wielkiem ustępstwem, wszystkiego za trzydzieści rubli". To także przyczynek do niedawnego naszego rysunku pod tytułem: „Dziewczęta na sprzedaż".

Nowy metal. O wynalezieniu nowego metalu — radium i jego właściwościach, zamieściła „Petersburskaj Gazeta" ciekawy bardzo artykuł: „Kilka miligramów tego metalu kosztuje 200 rb. Kilogram radium zaś — o ile możnaby metal ten w tak dużej ilości wydobyć — kosztowaćby musiał 10,000.000 rb. Ołów tylko pozbawia radium możności działania; jak tylko metal wysypać z ołowianego pudełka, zaczyna on okazywać swe właściwości: światło elektryczne, znajdujące się w pobliżu, gaśnie, przedmioty martwe zaś zaczynają świecić pięknym, srebrnym blaskiem. Ciało ludzkie nabiera własności fosforu, mimo że sam metal nie posiada żadnego blasku i pozostaje zawsze ciemnym proszkiem. Radium wywołał olbrzymi przewrót w nauce; przeróżne teorye i prace o właściwościach światła i elektryczności, stają się niepotrzebne. Znani chemicy, którzy robili próby i doświadczenia z nowym metalem, są przekonani, że radium pobudza do działania wszelkie niewidoczne i niestosowane dotychczas drgania świetlane w przestworzu, które zastępują drgania eteru w powietrzu. Zdania jednak są podzielone; doświadczenia robione są ciągle, spodziewać się należy nowych wyjaśniej i właściwości. Dotychczas radium posiada tylko petersburski instytut politechniczny w bardzo nieznacznej ilości".

Szczęśliwiec.

Pewien niepoprawny optymista opowiada, iż za następujące chwile swego życia jest niebu najwięcej wdzięczny.

Nr. 1. Biedny.

Że urodziłem się biedny, to już dlatego samego życie jest przecież coś warte. Wieczna konieczność pracowania wzmacnia nietylko muskuły i umysł, ale trzyma również ducha w skupieniu i nie daje mu sposobności do zastanawiania się nad wymarzonemi trudnościami lub zejścia na bezdroża. Nie chciałbym być milionerem. Ten nie dąży do niczego, podczas gdy ja mam to wesołe zadanie starać się o utrzymanie żony i czternaściorga dzieci, co mnie podtrzymuje w ciągłym ruchu. Dzięki Bogu, że nie urodziłem się ze srebrną łyżką w gębie.

Nr. 2. Skromna żona.

Dziękuję Bogu, że ożeniłem się z najskromniejszą kobietą, jaką mogłem wynaleźć. Nie możecie sobie wyobrazić, jakim sposobem ją zyskałem. Nie było klękania, pokłonów, skrobania podeszwą o podłogę, przysiąg. Było tylko: „Zuzanno, chcesz mnie?" — i sprawa była załatwiona. Nikt nie starał się odbić mi jej, gdy starałem się o nią; dlatego też nie zaznałem goryczy zazdrości. A i potem nikt nie stał za nią, wskutek czego nie było plotek, ani zamiarów rozwodowych, i mój spokój domowy nie był zakłócony. Była biedna — zgoda, nie może mi więc czynić wyrzutów, iż ożeniłem się z nią dla jej pieniędzy. Kawalerowie! Jeżeli chcecie zażyć słodyczy życia, żeńcie się z biedną, skromną panienką.

Nr. 3. Zła kucharka.

Dziękuję Bogu, że moja żona nie umie dobrze gotować. Coby to była za straszna rzecz, gdyby moja żona była dobrą kucharką! Wychowalibyśmy rodzinę żarłoków, która żyje dlatego, aby jeść — zamiast jeść, aby żyć. Moja żona gotuje jednak tak skromnie, że ta skromność wystarczy nam na długo. Patrzcie, co oszczędzamy.

Nr. 4. Wydziedziczony.

Dziękuję Bogu, iż stryj mój mnie wydziedziczył. Co za błogosławieństwo! Podczas gdy pracuję ciężko na pieniądze, moi krewni wszystko, co mieli, stracili w sądach na procesy. A podczas gdy ja i moja żona żyjemy w zgodzie, tamci prawili sobie grubiaństwa, aż zczerwienieli, jak indyki.

Nr. 5. Łysy.

Dziękuję Bogu, iż jestem łysy. Ile oszczędzam na szczotkach, grzebieniach i pachnących wodach! Człowiek o bujnym włosie ma kłopoty z jego utrzymaniem; kto ma mało włosów, stara się mieć więcej. Ja, na szczęście, ani o jednem, ani o drugiem myśleć nie potrzebuję.

Nr. 6. Bez indyka.

Dziś Boże Narodzenie. Dziękuję Bogu, że nie mamy indyka. Byłaby to okropna rzecz mieć w święto obfity obiad, wiedząc o tem doskonale, iż nazajutrz musimy powrócić do chleba, margaryny i kartofli. Prócz tego przy obfitych obiadach musielibyśmy się obawiać zaburzeń żołądkowych. Po takich świętach, wy zamożni czytelnicy, pocieszamy się jedną myślą: myślimy o was, co wy macie do zniesienia po takich obfitych obiadach i kolacyach, po cietrzewiach, gęsiach, befsztykach, leguminach, winach, owocach i innych przysmakach, o których nie mamy nawet wyobrażenia. — Zapewniamy was o naszem szczerem współczuciu.

Nr. 7. Bez węgli.

Dziękuję Bogu, że jesteśmy bez węgli. Jest zimno, wiem o tem doskonale i jestem zadowolony, że nie mamy węgli.

Bylibyśmy podobni do wężów, wygrzewających się na słońcu. Uznajecie sami, iż dla tak licznej rodziny, jak nasza, nie można nastarczyć kołder. Wystawcie sobie tę nieprzyjemność — opuścić płonące ognisko i potem lekko ubrany pakować się do zimnego łóżka, w którem przez całą noc trzeba drżeć z zimna. Tak, jak jest, kładziemy się do łóżek w ubraniach.

Nr. 8. Pusta spiżarnia.

Dziękuję Bogu, że nasza spiżarnia jest prawie pusta. Jest to wspaniały bodziec do pracy.

Czy sądzicie, że mógłbym tak wytrwale pracować, gdyby mi moja żona nie odpowiadała, że piekarz odmawia dalszego dostarczania chleba, dopóki dług nie zostanie wyrównany aż do ostatniego bochenka? — A prócz tego nie znam katuszy głodu. Zadawalniam się małem i kawałek chleba z gorącą wodą i solą wydaje mi się wspaniałym rosołem z makaronem.

Nr. 9. Egzekucye.

Dziękuję Bogu, że otrzymujemy wizyty egzekutorów. — Bywamy tak mało w towarzystwach, ci ludzie więc sprawiają nam rozrywkę i pożądaną odmianę. Prędzej czy później będą musieli wstrzymać swoje wizyty, gdyż na szczęście nie posiadamy żadnych mebli do przetransportowania.

Moja córka jest królową balów.

Doczekałem się wielkiej, nadzwyczajnej pociechy. Ja, sześćdziesięciodwuletni pomocnik zastępcy sekretarza, wyrosłem nagle na figurę z pewnem stanowiskiem społecznem. O moje względy ubiega się około pięciu młodych hrabiów, siedmiu baronów, oraz książę, którego tytuły są poważnie zakwestyonowane, lecz pomimo to, podobiznę mitry umieszcza wszędzie, gdzie się tylko da, nawet na chustkach do nosa swojej służby domowej.

Moje niebywałe powodzenie zawdzięczam córce, Joasi, która w sezonie bieżącym jest „królową balów", ogłaszaną przez wszystkie organy życia towarzyskiego.

Pozawczoraj dawano bal na podupadłych miłośników czekolady. Na dworze panował mróz trzaskający. Wszedłem dumnie do sali balowej, obciążony moim drogim skarbem. W pobliżu zwierciadła Joasię opadły trzy czy cztery sprawozdawczynie mód. Każda z nich trzymała w ręku zgrabny koszturek, służący do podnoszenia rozmaitych szczegółów garderoby damskiej.

Sprawozdawczynie, biegłe w swoim fachu, zajęły się przetrząsaniem odzieży Joasi tak gorliwie, że główny gospodarz balu przybiegł, ponsowy ze wstydu.

— Przestańcie panie! — zawołał — nasza królowa w tych warunkach łatwo może się przeziębić!

Głos wodzireja był głosem wołającego na puszczy. Dopiero surowe szklane wejrzenie dozorcy porządku poskromiło te panie.

Odchodziły, mrucząc:

— A jednak należało zbadać kształt i wytrzymałość zapinek jej gorsetu!

Teraz znaleźliśmy się w sali, zalanej światłem. Ukazanie się Joasi zwykle bywa witane szumem, jaki wydaje przy oddychaniu słoń, chronicznie zakatarzony. Są to szmery podziwu, oraz echa westchnień młodzieży męzkiej.

Nastąpiło to, co zwykle następuje, gdy do sali wchodzi moja Joasia. Czternastu panów pragnęło tańczyć z nią w jednym i tym samym czasie. Otoczona ze wszystkich stron, podobną była do konia, który przed trzema minutami zdobył wielkie derby.

Objął ją wpół książę, lecz hrabia Izydor nie wypuszczał jej lewej ręki, podczas, gdy baron, trzymając rękę prawą, już zaczął swoją lewą nogą robić *pas*, poprzedające chwilę ruszenia z miejsca.

Niski, jasny blondynek w tejże chwili uchwycił pełną dłonią jej tarlatany i, jak przystało jego młodości, już wyobrażał sobie, że tym sposobem osiągnął nad konkurentami zupełną przewagę.

Zamęt wzrastał. Struchlały kapelmistrz przerwał walca w połowie taktu.

Wreszcie przewaga wicehrabiego, który nadto odznacza się siłą lwa, położyła tamę zgorszeniu.

Ogłoszono przetarg na prawo tańczenia z Joasią.

Dochód z licytacyi, w sumie 23 złr. 11 ct. przeznaczono dla kasy ubogich.

Podczas gdy inne młode osoby drżały z chłodu, moja Joasia bez przerwy opływała w pocie. Niekiedy aż buchała parą i wtedy stawała się podobną do konia doroż-

karskiego, po odbyciu siódmego kursu w dniu mroźnym.

Trzęsła nią i obracała w kółko najprzedniejsza młodzież.

Co do mnie, byłem zupełnie pijany. Przy bufecie, każdy z wysoko sytuowanych tancerzy, uważał przepić do mnie za zdrowie Joasi i moje (ubogiego, skromnego człowieka!). Wszyscy ci panowie odznaczali się wstrzemięźliwością i żaden z nich nie wypił więcej, niż jeden kieliszek. — Na mnie (z każdym pilem z osobna) wypadło około 16 kieliszków starki, 19 koniaku i 23 wina.

Znalazłem się w stanie podniecającym do otwartości. Pociągnąłem za klapę fraka jednego z hrabiów, który najzapalczywiej ze wszystkich ubiegał się o miejsce w karnecie Joasi.

Rzekłem tonem przyjacielskim:

— Będąc na pańskiem miejscu, wyrobiłbym sobie przywilej wyłączności. Uderzyłbym po prostu o rękę Joasi... Ktoby mi tam kazał używać szczęścia, jak z łaski...

Hrabia odrzekł dobrotliwie:

— To niemożliwe. Od dwunastu lat jestem żonaty, a ponieważ jestem ojcem siedmiorga dzieci, o rozwodzie nawet marzyć niepodobna!

Wiadomości polityczne.

— Na wczorajszem posiedzeniu Rady państwa czesi chwycili się znów taktyki obstrukcyjnej. Posłowie Zazworka i Choc zgłosili dwa wnioski nagłe, po nich zaś p. Klofacz przez cztery godziny uzasadniał swój wniosek nagły w sprawie stosunków, panujących na politechnice czeskiej w Pradze. Oświadczył, że jego stronnictwo przez nagłe wnioski chce zadokumentować swe antymilitarne zasady. Mówił po czesku i tylko miejscami wplatał zdania niemieckie. Między innemi zauważył, że w Austryi jedna trzecia część profesorów uniwersytetu nie pobiera żadnej pensyi, twierdzi, że „austryacka gospodarka bezpłatnemi docenturami jest skandaliczną“ i t. d.

Po zamknięciu dyskusyi przemawiali poseł Dworzak, jako gen. mówca *pro*, a jako mówca *contra* p. Choc, obydwaj czesi. Wreszcie nagłość wniosku Klofacza odrzucono.

Następnie na porządku dziennym znajdowało się jako pierwszy punkt przedłożenie rządowe o rozdziale kontyngentu cukru. Stosownie do życzenia posła Steina, przy punkcie 4 porządku dziennego: „pierwsze czytanie budżetu“, równocześnie zostanie pod obrady wciągnięte także rozporządzenie cesarskie, ustanawiające prowizoryum budżetowe.

Na końcu posiedzenia odczytano różne interpelacye, a między innemi interpelacyę pp. Petelenza, Danielaka i tow. Interpelanci powołują się na doniesienie „Kuryera Warszawskiego“, że konsul warszawski — mimo rozporządzenia ministerstwa handlu, znoszącego wizowanie paszportów dla poddanych rosyjskich, udających się do Austryi, — wizy wymaga, a władze graniczne w Szczakowej odsyłają podróżnych nie mających wizy, z powrotem; interpelanci zapytują, co minister handlu zamyśla uczynić, by stało się zadość rozporządzeniu ministerstwa.

— Na czwartkowem posiedzeniu parlamentu niemieckiego, wygłosił przywódca socyalistów Bebel, długą mowę.

Między innemi zwrócił się z zapytaniem do prezydenta, czy prawdziwemi są doniesienia dzienników, że cesarz po wizycie w Rewin wysłał wysłał do cara telegram: „Admirał atlantyckiego oceanu pozdrawia admirała oceanu Spokojnego“ — i że na ten telegram otrzymał krótką i suchą odpowiedź: „Szczęśliwej podróży!“ (Wesołość). Następnie przeszedł Bebel do omówienia wewnętrznej polityki. Zajęcie wzrosło, gdy mówca zaczął rozstrząsać mowy cesarza Wilhelma.

Kanclerz państwa — mówił Bebel — zastrzegał się przeciw krytykowaniu osoby cesarza. Obecny cesarz jednak oddawna przy każdej sposobności w najostrzejszy sposób podnosi głos przeciw socyalnej demokracyi. Kilkakrotnie już wmięszał się cesarz w walkę politycznych stronnictw. Panujący zajmuje w konstytucyjnem życiu wyjątkowe stanowisko, jest nieodpowiedzialnym nawet wówczas, jeśli depce ustawy państwa. Gdyby ktoś inny, a nie cesarz, poważył się wygłosić takie mowy przeciw partyi socyalistycznej, jakie wygłoszono w ostatnich czasach, pociągnęlibyśmy mówcę do odpowiedzialności karnej i każdy sędzia skazałby go za obrazę. Nawet prasa nie może swobodnie odpierać takich napaści. Cesarz nie jest wcale osobą prywatną, jeśli bowiem występuje publicznie, to czyni to jako monarcha. My, socyalni demokraci, znajdujemy się w takiem położeniu, iż nie możemy odpowiadać na ataki cesarza. Czyż wobec tego można się dziwić, że wśród napadniętych rośnie rozgoryczenie i nienawiść do osoby cesarza? Czyż to niezrozumiałe? Zapytuję panów z najskrajniejszej prawicy, najlojalniejszych z pośród lojalnych, czyżby byli tak samo lojalnemi, gdyby ich taksamo traktowano, jak nas od wielu lat? A był czas, kiedy w konserwatywnych kołach Prus i Niemiec więcej popełniano obraz majestatu, niż kiedykolwiek w niemieckiem państwie.

Długo mówiąc na ten temat, zaczepił Bebel z kolei o następcę tronu. — Jako republikanie — mówił — jesteśmy przeciwnikami monarchii, ale nie przeciwnikami osób panujących. Monarchia jest instytucyą, a nie kwestyą osób; wzrosła ona na historycznej podstawie. Dlatego jesteśmy także przeciwnikami anarchistów, którzy propagują mord panujących. Ale, gdy panujący atakuje nas i lży, to nie bylibyśmy ludźmi, gdybyśmy tego nie odparli. Oprócz cesarza produkuje się publicznie także 20 letni następca tronu, który również nazywa nas „nędznikami“. Jakie zasługi za sobą ma ten młody człowiek, że sobie na coś podobnego pozwala? Nas to nie boli, bo wkońcu nazwa „nędznicy“ stanie się nazwą zaszczytną i np. przyszły kongres nasz możemy już nazwać kongresem „nędzników“. Ale młody człowiek miałby coś lepszego do roboty, aniżeli występować wrogo wobec najpotężniejszej partyi Niemiec. To obrażanie socyalistów może mieć dla niego złe skutki w przyszłości, kiedy odziedziczy tron.

Tow. Bebel zakończył swoją mowę skrytykowaniem szwindlowanych i wymuszanych adresów robotniczych do cesarza, oraz zapewnieniem, że uchwalenie lichwy zbożowej dało socyalnym demokratom do ręki potężną broń, którą zużytkują przy najbliższych wyborach do parlamentu. (Burzliwe oklaski).

Telegramy „Kuryera Krakowskiego“

z dnia 24 stycznia.

Wiedeń. Na dzisiejszem posiedzeniu Izby poselskiej odczytano wniosek nagły Stwiertni w sprawie bezrobocia w Schodnicy i Borysławiu. Wnioskodawca domaga się zapomogi państwowej dla pozbawionych pracy robotników.

Klofacz uzasadnia wniosek nagły, domagający się wyjaśnień w sprawie zwiększonych wydatków, spowodowanych nową ustawą wojskową. Żąda również wyjaśnień co do pogłosek o mobilizacyi i wysłania eskadry do Lewanty. Zaznacza, że wniosek jego nie ma celów obstrukcyjnych.

Zabiera głos Fressl.

Min. Böhm-Bawerk oświadcza, że rząd udzieli wyjaśnień podczas rozpraw nad odnośnemi sprawami.

Wiedeń. Na końcu wczorajszego posiedzenia komisyi cukrowej min. Böhm-Bawerk podniósł, że nie jest przeciwnikiem zniżenia dosyć wysokiego podatku spożywczego od cukru gdzieindziej bywa on jeszcze wyższy a w Austryi usprawiedliwia go niekorzystny stan finansowy. Wątpliwem jest, czy r. 1902 da jakąś nadwyżkę. W razie niedoboru musiałyby być nałożone nowe podatki lub podwyższone stare. Zresztą zniżenie podatku od cukru musiałoby nastąpić w porozumieniu z Węgrami.

Stanisławów. W tamtejszym zakładzie karnym dla mężczyzn wybuchły ponownie ekscesy więźniów. Batalion wojska czuwa nad utrzymaniem spokoju.

Berlin. „B. Wolffa“ donosi z Macaraibo przez Willemstad pod datą 21 b. m. Urzędowa relacya komendanta Schädera donosi, że d. 17 b. m. okręt ni miecki „Pantera“ przejeżdżał przez cieśninę, tworzącą wjazd do zatoki macaraibskiej, gdy z fortów w St. Carlos dano do niego ognia. Komendant zatrzymał okręt i odpowiedział ogniem działowym. Ostrzeliwanie trwało $^1/_2$ godz., musiał jednak walkę przerwać z powodu trudności nawigacyjnych. By natychmiast wymierzyć karę, wezwał on dwa okręty niemieckie na pomoc i zarządził bombardowanie portu, który też 21 b. m. został zburzony. (Niewiniątka! zaczepiono poczciwców, więc musieli się bronić i za karę mordować nieszczęśliwą ludność wioski St. Carlos!).

Paryż. „Agencya Havasa“ donosi z Macaraibo pod datą 23 b. m. Okręty niemieckie ostrzeliwują bezustannie forty w St. Carlos, które jeszcze stawiają opór. Ludność w Macaraibo jest bardzo na niemców rozgoryczona. (Nie może być? — ktoby przypuszczał!)

Madryt. Dekret, dotyczący rozwiązania Kortezów, wydany będzie 14 lutego.

Waszyngton. Prezydent Roosevelt przedłożył senatowi do zatwierdzenia układ panamski. Senat przekazał przedłożenie komisyi.

Nowy Jork. W jednej z tutejszych fabryk papierosów powstała wielka panika, skutkiem pożaru w sąsiedniej realności. W fabryce tej zajętych jest 500 osób. U drzwi wychodowych powstał ogromny ścisk. Trzy kobiety uduszono. Pięć kobiet i jeden mężczyzna są ciężko ranni. Wiele osób odniosło lekkie obrażenia.

Caracas. Nadeszła tu wiadomość, że pancernik niederlandzki, „De Reuyter“, który dnia 21 b. m. przybył do La Guayra, znalazł na wybrzeżu 17 trupów.

Byli to ludzie, którzy skutkiem blokady nie mogli się wystarać o żywność i zginęli z głodu i pragnienia.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca:

Kazimierz Bartoszewicz.

Drobne ogłoszenia

Merkury

Gazeta Losowań i Handlowa

Wychodzi 2 i 16-go każdego miesiąca

Treść Nr. 2, rocznik 6: Losowania. Przemysł galicyjski w r. 1902. Losy w r. 1902. Kronika handlowa. Przegląd giełdowy. Odpowiedzi redakcyi, itd.

Całoroczna prenumerata kosztuje 3 kor. 60 hal., półroczna 1 kor. 80 hal. — Numera okazowe darmo i opłatnie.

W styczniu otrzymają wszyscy Abonenci **bezpłatnie „Rocznik finansowy na rok 1903“** i kalendarzyk bankowy.

Adres administracyi: Kraków, Rynek gł. 5.

ZMIANA LOKALU!

Mam zaszczyt zawiadomić Sz. Publ., że dotychczasową moją **RESTAURACYĘ** którą znacznie powiększyłem i połączyłem z handlem towarów kolonialnych, delikatesów i win, przeniosłem z ul. Sławkowskiej 31, **na ul. Grodzką 35.** Handel zaopatrzyłem w doborowe towary korzenne, owoce południowe, różne łakocie, wina węgierskie, austryackie i francuskie, oraz koniaki. **Wódki i rosolisy krajowe i zagraniczne.** Restauracya wydawać będzie zawsze smaczne i zdrowe potrawy zimne i ciepłe, oraz różne przekąski. **CENY PRZYSTĘPNE.** — Dziękując za dotychczasowe zaufanie, polecając się nadal łask. względom Szanownej Publiczności, ręcząc za szybką i rzetelną usługę.

O. FEDERGRÜN. ul. Grodzka 35.

Antoni Hawełka

c. i k. dostawca Dworu

POLECA: Ostrygi Ostendzkie
Kawior niesolony
Winogrona słodkie świeże
Porter angielski
Jaskółcze gniazda 355 4—104

Wincenty Satalecki pierwszorzędna fabryka parowa wyrobów wędlin w zakres masarstwa wchodzących.

Główne składy w Krakowie, przy ul. Floryańskiej l. 18.

Filie w Wiedniu V. Schoenbrunnerstrasse l. 27, wyrabia i poleca: **Szynki** praskie i westfalskie, **polędwice** pieczone i łososiowe, sławne **kiełbasy krakowskie, polędwice**, krajane i siekane, **kiszki** pasztetowe, **salcesony** w rozmaitych gatunkach, paryską kiełbasę, słoninę paprykowaną białą polską, węgierską i wędzoną, **smalec** i sadła stare, **wędzonkę** z młodych prosiąt, **rolady** w rozmaitych gatunkach, **kiełbaski i serdelki** wiedeńskie, **kiszki podgardlane, ozory** wędzone i gotowane w trzech gatunkach i wszystkie inne wyroby tu niewyszczególnione, które wchodzą w zakres masarski.

Dwa razy dziennie świeży towar.

Cenniki szczegółowe na żądanie opłatnie. — Przesyłki uskutecznia odwrotną pocztą i koleją za zaliczką. 199 17—25

Kantor Wymiany

c. k. uprzyw. galicyjskiego akcyjnego

BANKU HIPOTECZNEGO

kupuje i sprzedaje

wszelkie papiery wartościowe i monety

po najdokładniejszym kursie dziennym, nie licząc żadnej prowizyi

ARTYSTYCZNO MALARSKA PRACOWNIA

Szyldów, robót dekoracyjnych i lakiernictwa

Odznaczona złotym medalem.

Antoniego TOMASZEWSKIEGO

w Krakowie, Plac Szczepański L. 2.

Wykonuje nadal wszelkie roboty w zakres malarstwa szyldowego wchodzące.

Kalendarze na rok 1903:

„Prawdy“ cena zniżona po 40 h., „Czecha“ 1 k. 20 b., „Gospodarz“ 60 b., „Polak“ 60 i 80 b., „Powszechny“ 1 k. 60 b., „Maryański“ 60 i 80 b., „Bociana“ 1 k., 20 b.; oraz ścienne, biurkowe i pugilaresowe.

Kartkowe do zrywania po 40 h., 60 h., 80 h., i t. p.

Kolosalny wybór obrazów, listew na ramy i książek do nabożeństwa.

poleca: Kazimierz Zajączkowski specyalny skład artykułów dewocyjnych — w Krakowie plac Maryacki 8. 286

Drobne ogłoszenia przyjmuje Administracya „Kuryera Krakowskiego“ Karmelicka 7. po cencie (2 grosze) od słowa.

Hotel pod różą wynajmuje w czasie karnawału lokal składający się z sali większej i mniejszej i czterech pokoi i piętro na pikniki kolacye etc. za 20 złr. 358 3—3

Gorsety „Radikal“

bez szwów, przewyższają wszelkie tutejsze i zagraniczne fabrykacye.
Tamże również wielki wybór prawdziwych pragskich
RĘKAWICZEK po nader niskich cenach.
Do nabycia tylko u

Hermana Piesena

specyalisty gorsetów z Pragi
Kraków, ulica Grodzka L. 4.

Salon sprzedaży kwiatów

pod firmą **Karolina Michalska** Kraków, ul. Szewska l. 23

Telefon 363

Poleca: kwiaty świeże, kosze z kwiatami, żardiniery, bukiety na wesela i bale, przyjmuje dekoracye salonów, stołów i t. p.

Ceny umiarkowane — Wykonanie punktualne

Drukarnia i stereotypia A. Koziańskiego w Krakowie.